

Duńska fala

Archiwalna rozmowa z Clausem Bjornem Larsenem, zwycięzcą World Press Photo 1999 ("Press", marzec 2000)

Na konferencji prasowej w Amsterdamie, po ogłoszeniu wyników tegorocznej edycji World Press Photo, pytał Pan członków jury: "Dlaczego akurat to zdjęcie? Przysłałem też inne, o wiele lepsze".

Byłem zaskoczony wyborem tej fotografii. Są zdjęcia, do których trzeba się bardzo przyłożyć, włożyć w nie sporo serca – takie się ceni i pamięta. A to zrobiłem szybko i łatwo – kilka klatek i stwierdziłem, że więcej czasu temu człowiekowi nie warto poświęcać. Oczywiście, jego oczy, twarz wyrażają duże emocje. Ale jakoś tak schowałem to zdjęcie głębiej w moim archiwum.

Jednak do konkursu World Press Photo Pan je zgłosił.

Na konkurs posłałem historię składającą się z dwunastu fotografii. Tę dołączyłem tylko dlatego, że czułem, iż wywołuje emocje, pasuje do całej historii. Osobno bym jej nie typował.

Nigdy wcześniej nie została opublikowana?

Nigdy. Nawet w mojej gazecie nie wybrałem jej do druku. Nie dlatego, że jest zła – po prostu przywiozłem mnóstwo lepszych.

Jak jurorzy World Press Photo tłumaczyli swój wybór?

Przewodniczący jury powiedział: "Głosowałem na to zdjęcie, ponieważ bardzo oddziałuje na wyobraźnię". Podobała im się też fotografia z rękami wyciągającymi się po chleb, jednak gdy się ogląda prace nagradzane w World Press Photo w poprzednich latach, można zaobserwować, że zwykle nie ukazują one scen zbiorowych, lecz pojedyncze, osobiste sytuacje.

Gdzie i kiedy zrobił Pan zwycięskie zdjęcie?

W kwietniu, w obozie uchodźców w Kukes. Wstawałem zwykle o szóstej rano, żeby obserwować w obozie budzący się dzień. Nagle zobaczyłem tego mężczyznę. W obozie nie było wielu takich ludzi, jak on. Oczywiście, rannych widziało się wszędzie, lecz on był inny. To się rzucało w oczy.

Szedłem za nim razem z tłumaczką. Poprosiłem, żeby się dowiedziała, co go spotkało. Próbowала z nim rozmawiać, ale on nie mógł mówić. Nie wiem, czy w wyniku ran, czy po prostu był niemową. Co ciekawe, w tych obozach wszyscy się znali, a przynajmniej mieli po kilku znajomych. O nim nikt nic nie wiedział. Na pewno był uchodźcą z Kosowa, ale był zupełnie sam. Kiedy się odwrócił, zrobiłem pięć, sześć zdjęć. Nigdy później go nie widziałem.

Może, gdy po ogłoszeniu wyników konkursu opublikowano to zdjęcie w kosowskich gazetach, ktoś go rozpoznał?

Wszystkie prace, które przysłał Pan na konkurs, były czarno-białe. Dlaczego?

Kiedy przyjechałem do Kosowa, było tam już mnóstwo fotografów. Zdjęcia z AP czy Reutersa spływały do redakcji non stop. Wszystkie kolorowe. Pomyślałem, że jeżeli chcę coś tam zrobić, muszę to zrobić inaczej. Gdybym fotografował w kolorze, miałbym takie foty, jak wszyscy. W obu aparatach, które miałem, wymieniłem więc kolorowe filmy na czarno-białe, kodaka CN 400. Jedynie w czasie wyzwolenia Kosowa zrobiłem kilka kolorowych zdjęć, ponieważ wówczas takie elementy, jak flagi były bardzo istotne dla obrazu sytuacji.

Jakiego sprzętu Pan używał?

Wszystkie zdjęcia z wojny w Kosowie zrobiłem na dwóch małych aparatach Leica M6 z obiektywem 24 i 50 milimetrów. Nic innego nie miałem. Tymczasem większość fotoreporterów, którzy przyjeżdżali do obozów uchodźców, była objuczona supersprzętem, najnowszymi aparatami cyfrowymi, kamerami. By zrobić dobre zdjęcia moimi aparatami, musiałem być blisko

fotografowanych, ale za to nie straszylem ich tonami noszonego przy sobie sprzętu. Przez cały czas byłem wśród tych ludzi i to pozwoliło mi chwycić ich emocje.

Oprócz Pana w tegorocznym konkursie nagrodzono jeszcze trzech innych Duńczyków: Jana Dago, Jana Granupa i Tina Hardena.

Jesteśmy kolegami. Z Granupem pracowałem razem w "Ekstra Bladet", Harden jest z dziennika "Politiken", Jan Dago to freelancer z Arhus. Leicę kupiłem właśnie od Granupa, kiedy przerzucił się na contex G2. Harden i Dago pracują na nikonach.

Jury było zaskoczone, ponieważ wszystkie zdjęcia przysłane z Danii były bardzo dobre – technicznie i artystycznie, i wszystkie były czarno-białe. Zastanawiano się, czy to jakiś dowód istnienia duńskiej szkoły w fotografii.

Po prostu wszyscy lubimy pracować w technice czarno-białej. Takimi zdjęciami łatwiej wywołać wrażenie. Nie wiem, czy jest jakaś duńska szkoła. Po prostu mamy dobrą fałę. Poza tym, nie jesteśmy konkurentami, lecz przyjaciółmi. Oczywiście, każdy stara się zrobić jak najlepsze zdjęcia, lecz np. w Kosowie co wieczór siadaliśmy razem i pokazywaliśmy, co mamy. Rozmawialiśmy o swoich zdjęciach, krytykowaliśmy się nawzajem – to pomaga. Osiem lat temu powstał w Danii Związek Fotografów Prasowych, który co roku organizuje konferencje szkoleniowe poświęcone technice robienia zdjęć, wywoływaniu, najnowszym trendom itp. Na te konferencje zapraszani są najlepsi fotografowie z zagranicy, np. Silvester Salgado z agencji Magnum, Gilles Perez z Francji czy James Nachtwey z USA. Opowiadają, jak pracują, przywożą swoje zdjęcia. Nam, patrząc na te prace, łatwiej jest zrozumieć, co znaczy dobra fotografia. I zdecydować, w którą stronę chcemy iść.

Który ze światowej sławy fotografów jest wzorem dla Pana?

James Nachtwey z Nowego Jorku. Pracuje m.in. dla "Time'a", "Life'u", "National Geographic". O ile fotografie Pereza mają charakter artystyczny, o tyle prace Nachtweya są realistyczne, pełne emocji, robią wrażenie. Takie chciałbym robić. Lepiej się czuję w sytuacji, gdy coś się dookoła mnie dzieje.

Od kilku lat zdjęcie wygrywające World Press Photo to obraz z miejsca największej tragedii – wojny, konfliktu – która zdarzyła się w danym roku. Zapewne miał Pan inne świetne zdjęcia, które mógł zgłosić na konkurs, a wybrał Kosowo.

Oczywiście wiadomo, że w World Press Photo wygrywa zwykle zdjęcie dokumentujące najważniejsze wydarzenie. Dlatego posłałem swoje prace z Kosowa. W tym roku mogło wygrać albo Kosowo, albo Czeczenia. Ale dostać się do Czeczenii było trudno. I niebezpiecznie. Będę jeszcze próbował.

By robić zdjęcia, które mogłyby rywalizować w konkursie World Press Photo 2000?

Tak. Myślę, że teraz będzie mi łatwiej dostać zlecenie do Czeczenii. Pójdę do fotoedytora i powiem: "Popatrz, wysłałeś mnie do Kosowa, zrobiłem ci 24 czołówki i zdobyłem nagrody". Gdy odpowie, że nie ma pieniędzy, przyjdę na drugi dzień. Aż go przekonam.

Czy to nie jest pójście na łatwiznę: obstawianie wydarzeń, z których fotografie mają szansę wygrać?

Owszem, będąc świadkiem największych wydarzeń, jadąc tam, gdzie z natury rzeczy mogą powstać ciekawe zdjęcia, ma się większe szanse. Ale dobre zdjęcie można zrobić wszędzie. W Kosowie oprócz mnie były setki fotografów i jakoś nie wszyscy wygrali World Press Photo. Na wojnie można zrobić zdjęcia wybitne, ale można też zrobić setki bardzo marnych.

Rozmawiała Renata Gluza